



Antidotum

Daria Muszyńska

Daria Muszyńska

Antidotum

© Copyright by Daria Muszyńska & e-bookowo
Grafika i projekt okładki: Daria Muszyńska
ISBN 978-83-7859-119-1

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo
www.e-bookowo.pl
Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione
Wydanie I 2013

Wstęp

Góry. Pierwsze co widzę z okna mojego zakopiańskiego pensjonatu zaraz po przebudzeniu. Widok gór działa na mnie kojąco. Napawa mnie pozytywną energią na cały dzień. Ponadto, góry to najlepsze pogodynki. Kiedy wstaję rano i widzę Giewont w całej krasie to znak, że będzie padać. A kiedy Giewont jest za mgłą... to znaczy, że już pada. Ot, cała filozofia.

Nazywam się Larysa Cardoza. Mam dwadzieścia trzy lata i właśnie próbuję wstać z łóżka. Dziś z podróży po Afryce wraca mój brat bliźniak, Wiktor. Obiecałam mu, że odbiorę go z lotniska. A więc nie ma rady, trzeba jechać...

To może tytułem wstępu. Ja i mój brat od pięciu lat mieszkamy w Zakopanem. Wcześniej mieszkaliśmy w Bostonie, w stanie Massachusetts w USA. Nasza mama była Polką, a tata Kubańczykiem, stąd nietypowe nazwisko. Niestety kiedy mieliśmy po osiemnaście lat, oboje zginęli podczas wyprawy w Himalaje, kiedy spadła na nich lawina.

Po śmierci rodziców, kiedy razem z Wiktorem zaczęliśmy robić porządki w ich rzeczach, znaleźliśmy pamiętnik mamy. Pisała w nim o ich magicznym miejscu w którym spędzali z tatą dużo czasu, podczas ich wizyt w Polsce. Tym miejscem było Zakopane. Nie namyślając się długo, postanowiliśmy z Wiktorem opuścić Stany i zamieszkać na stałe w Polsce, w miejscu nieustannie wychwalanym i idealizowanym przez rodziców. Pokochaliśmy Zakopane już pierwszego dnia. Ten klimat, wspaniali ludzie, atmosfera... Wszystko to pomogło nam się pozbierać po ciężkich przeżyciach.

Wśród cudownych osób, które poznaliśmy, znalazła się pani Celina, samotna kobieta w wieku sześćdziesięciu trzech lat, z długim blond warkoczem, który codziennie pieczołowicie zaplatała i zwijała w ciasny kok. Zastąpiła nam matkę, pomogła stanąć na nogi i namówiła nas na otwarcie pensjonatu, jako, że dom rodziców był dostatecznie duży i miał dobrą lokalizację. Oczywiście zgodziliśmy się. Po kilku tygodniach wspólnej pracy poprosiłam Celinę żeby zamieszkała z nami, na co przystała bez wahania. Uargumentowałam to tym, że potrzebuję jej pomocy, ponieważ sama nigdy nie prowadziłam pensjonatu. Tak naprawdę jednak, nie chciałam żeby Celina mieszkała sama. Poza tym przez te kilka tygodni oboje z Wiktoorem przyzwyczailiśmy się do porywczej nieraz lecz również niesamowicie ciepłej i dobroduszej Celiny. Poznaliśmy jej wady i zalety, lęki i pragnienia, przywykliśmy też do różnych zwariowanych pomysłów jakie kłębiły się w jej głowie. Słowem – pokochaliśmy ją. Stała się członkiem naszej rodziny. Sam ośrodek wiele dzięki niej zyskał. Zadbła o odpowiednie wyposażenie pokoi oraz wystrój wnętrza.

Pensjonat w przeciwieństwie do miastowych hoteli i pensjonatów nie miał nazwy, podobnie zresztą jak większość pensjonatów, schronisk i domów wczasowych umiejscowionych na oddalonych od miasta i zgiełku terenach. Mój pensjonat również do takich należał.

Dwupiętrowa willa stanowiła ostoję dla wielu przyjezdnych, zwłaszcza w sezonie letnim. Zimą turyści decydowali się na wynajem pokoi w ośrodkach położonych bliżej skoczni i stoków narciarskich. Mój pensjonat odpoczywał wtedy od zgiełku i tłoku, a my z Celiną przygotowywałyśmy się do nadchodzącej wiosny i nowego wysypu turystów.

Willa rodziców była naprawdę ogromna. Dziwiło mnie przez pewien czas, że rodzice sami nie wpadli na to, aby przekształcić wielki dom w pensjonat. Zastanawiałam się także nad tym co

też właściwie ich podkusiło, aby kupować taką olbrzymią posiadłość. Kilkunastu pokojowy dom był zdecydowanie za duży na dwie osoby. Teraz większość pokoi była wynajmowana, a i tak dom wydawał się jakiś pusty.

Na najwyższym piętrze znajdowało się sześć pokoi: dwa jednoosobowe i cztery dwuosobowe oraz dwie łazienki. Pokoje na tym piętrze zwykle były wynajmowane przez samotnych podróżników, przyjeżdżających na wypoczynek księży lub pisarzy szukających natchnienia w górskich szczytach.

Pierwsze piętro składało się w sumie z siedmiu pomieszczeń: trzech trzyosobowych pokoi, dwóch pokoi czteroosobowych, jednego dwuosobowego oraz dużego salonu na końcu korytarza, gdzie znajdowała się podłużna ława do siedzenia, szeroki stół oraz dostęp do Internetu. W tym właśnie miejscu przesiadywała większość przyjezdnych, kiedy warunki pogodowe nie pozwalały na zorganizowanie sobie czasu na świeżym powietrzu. Wówczas goście podłączali swoje laptopy do gniazdek i cały dzień spędzali na przekopywaniu zasobów Internetu.

Na parterze zaś znajdowały się dwa pokoje czteroosobowe, wynajmowane zwykle przez całe rodziny, dwa apartamenty, pokój dzienny, w którym goście mogli zasiąść przy kilkuosobowych stolikach i zjeść któryś ze specjalów Celiny, kuchnia oraz biuro.

Do pokoi Wiktora, Celiny i mojego prowadziły osobne schody, przed którymi na wąskiej komodzie stała tabliczka z napisem „Pomieszczenia służbowe”. Niejednokrotnie zdarzało się bowiem, że goście zwiedzając pensjonat błędzili po całej willi przez przypadek trafiając do któregoś z naszych pokoi. Aby zapobiec kolejnym tego typu sytuacjom, któregoś dnia Wiktor kupił odpowiednią tabliczkę i umieścił ją w widocznym miejscu. Dzięki temu zwyczaj zwiedzania prywatnych pokoi przez nowych gości stał już się tylko niezręcznym wspomnieniem.

Sam hol natomiast stanowił swoistą wizytówkę Zakopanego. Na ścianach wisiały ciupagi, góralskie kapelusze, zwane Kłobuckami, baranie skóry, ludowe stroje oraz wiele pięknych obrazów. Gości wchodzących do pensjonatu witały również dwie lorysy górskie. Były to tęczowe papugi, które należały do moich rodziców. Przywieźli je kiedyś z Australii. Ruchliwe i zwinne ptaki niejednokrotnie absorbowały najmłodszych gości pensjonatu na długie godziny.

Na zewnątrz domu znajdował się taras, na którym goście mogli przebywać od rana do wieczora, nawet podczas deszczowej pogody, ponieważ rodzice zadbałi o jego zadaszenie. Ogród wokół pensjonatu może nie był arcydziełem. Ani ja, ani Wiktor nie znaleźmy się na pielęgnacji roślin, a Celina nie miała już sił na klęczenie godzinami w trawie i babraniu się w grząskiej ziemi. Ogrodników w okolicy też było niewielu, a ci, których znała Celina mieli już pełne ręce roboty. Ostatecznie udało jej się przebłagać starego znajomego, aby raz na jakiś czas wpadał do nas z wizytą i podcinał drzewka oraz krzewy. Dzięki temu ogród mimo tego, że nie było w nim żadnych kwiatowych ekspozycji, był zadbany i stanowił miły obraz dla oka.

Na samym tyle domu natomiast, znajdowały się dwa małe osobne domki, a konkretnie budy. Należały one do dwóch owczarków kaukaskich o imionach Fipo i Frey, które z kolei należały do mnie. Nocą pilnowały pensjonatu szczerkając doniośle, kiedy tylko w pobliżu pojawiał się nieproszony gość. Za dnia zaś pałętały się bez celu po podwórku i stanowiły jedną z atrakcji dla przebywających w pensjonacie dzieci.

Tyle w kwestii samego pensjonatu.

Trzy miesiące temu, Wiktor pojechał do Afryki. Było to jego ogromnym marzeniem od dziecka, więc kiedy nadarzyła się okazja do wyjazdu, mało nie oszalał z radości. W czasie swojego pobytu w Afryce, miał pracować jako pomocnik weteryna-

rza. Zawsze zastanawiało mnie, jak to jest przeprowadzać operację na lwie czy innym egzotycznym stworzeniu...

A dziś Wiktor miał wracać. Planowałam wypytać go szczegółowo o lwy, żyrafy i inne zwierzęta. Również byłam nimi zafascynowana, jednak nigdy nie miałam możliwości zobaczenia ich w naturalnym środowisku. Kiedyś widziałam słonia w zoo, ale był on wychowany w niewoli, a poza tym wyjątkowo rozkapryszony. Cały czas siedział tyłem do zwiedzających eksponując jedynie swój wielki zad i nie odwróciwszy się nawet na sekundę, udawał najwyraźniej wielki głaz. A ja chciałam zobaczyć prawdziwie dzikie zwierzę.

Po paru minutach rozmyślań i wylegiwania się, z trudem wyczołgałam się spod kołdry i wygramoliłam się z ogromnego łóżka. Podeszłam do toaletki, aby sprawdzić z jaką fryzurą obudziłam się w dniu dzisiejszym. Z lustra spojrzęła na mnie zaspana dziewczyna o śniadej cerze, ciemnych jak dwa węgielki dużych oczach i sterczących w czterech kierunkach świata długich do ramion, ciemnych włosach.

Pośpiesznie przeczesalam niesforne włosy szczotką, co jednak nie dało oczekiwanego efektu, a nawet pogorszyło sprawę. Teraz włosy dodatkowo naelektryzowały się i nie było już sposobu na ich poskromienie. Szybko porzuciłam więc myśl o tym, że chociaż raz wyjdę z domu z należyтым ładem na głowie i zaczęłam ubierać się w trybie ekspresowym, wkładając na siebie niebieską sukienkę, po czym zbiegłam po schodach na dół. Czym prędzej wpadłam do kuchni, pochłonęłam przygotowane przez Celinę kanapki z serem i pomidorem, wsiadłam do mojego czarnego Hammera i pojechałam na lotnisko przekraczając prędkość co najmniej o 30 kilometrów, a to tylko dlatego, że już od 10 minut miałam być na lotnisku...

Kiedy tydzień temu przywiozłam Wiktora do domu, nie mogłam nacieszyć się z jego powrotu. Parę razy poszliśmy w góry, to znowu na Krupówki, to na grilla do znajomych. Dopiero dzisiaj zauważyłam, że dzieje się z nim coś dziwnego. Zwykle ten wysoki brązowooki brunet o ciemnej karnacji tryskał energią i humorem, zarażając wszystkich szerokim uśmiechem. Teraz był bardzo blady, wydawał się być też słaby i jadł jakby mniej, co bardzo nie podobało się Celinie.

– Wiktorku, zjedz chociaż rosół. To prawdziwy, góralski, cztery dni gotowany.

– Dziękuję ci, ale chyba nic nie przełknę – Wiktor zrobił kwaśną minę.

– Nie możesz nic nie jeść. Ani śniadania, ani obiadu... – Celina załamała ręce – Może chory jesteś? Toż to do niczego niepodobne, żebyś nie jadł nic tyle czasu. Zawsze o tej porze lodówka spenetrowana od najwyższej półki po sam zamrażalnik.

– Nie martw się Celino, nic mi nie jest. Po prostu nie mam jakoś apetytu. A Larysa gdzie?

– A śpi chyba jeszcze. Od kilku dni mamy tu taki kocioł, turystów tyłu się nazjeżdżało... jakby co za darmo dawali. Musi dziewczyna odespać wreszcie.

Na te słowa weszłam do kuchni.

– Dzień dobry wszystkim – powiedziałam zachrypniętym głosem sięgając od razu po leżącą na stole kanapkę i wpychając ją do ust.

– Dopiero ósma, mogłaś jeszcze pospać – powiedziała Celina.

– Mohłam, mohłam, ale fyszulałam piękny sapach tochocący s kuchni i noki same mnie tu pszyprofaciły – wysepleniłam plując dookoła kawałkami kanapki.

– No nareszcie ktoś docenił mój rosół – Celina spojrzała z wyrzutem na Wiktora i odwróciła się w stronę kuchenki, na której stał garnek z zupą.

- Jak tam braciszku? – spytałam.
- Nieźle. Poza tym, że chyba nagrabiłem sobie u naszej Celinie – szepnął – Ostatnio coś nie mam apetytu.
- W ogóle jesteś jakiś blady. Wszystko w porządku?
- Nigdy nie czułem się lepiej.
- W takim razie może pomógłbyś mi przestawić dzisiaj szafę z dokumentacją pensjonatu z dużego pokoju? Wczoraj wpadł mi pod nią klucz, a sama nie dam rady jej przesunąć. W dodatku tydzień temu ktoś z piekarni pomylił się z kosztami zamówienia i potrzebna jest faktura, żebyśmy mogli wyjaśnić nieporozumienie.
- W takim razie chodź, zrobimy to teraz. Później jadę na miasto, mam do załatwienia parę spraw, więc do południa mnie nie będzie.

No i poszliśmy. Szafa znajdowała się w pomieszczeniu, które stanowiło pewnego rodzaju biuro. Jako, że w pensjonacie nie było recepcji, całą dokumentację i papiery trzymaliśmy w tym właśnie pokoju. Również tutaj przyjmowaliśmy gości chcących wynająć pokój. Surowe wyposażenie wnętrza, w którym znajdowało się jedynie mosiężne stare biurko, fotel, dwa krzesła i stara szafa, ocieplone zostało nieco przez położoną na podłodze przez Celinę skórę z barana, pełniącą funkcję dywanika. Na ścianie przeciwległej do okna wisiał także obraz w połączanej ramie przedstawiający halę pełną owiec. Dzięki tym małym szczegółom, pomieszczenie sprawiało wrażenie całkiem przytulnego.

Szafa, którą mieliśmy przesunąć nie była duża, jednak bardzo masywna i wypełniona po brzegi różnymi dokumentami i segregatorami, przez co ważyła też sporo. Ustawiłam się z jednej strony, Wiktor z drugiej. Chwyciliśmy szafę za brzegi.

- To na trzy – zakomenderował Wiktor i zaczął odliczać – Raz... dwa... trzy!

Przesunęliśmy szafę ledwie o kilka centymetrów, kiedy usłyszałam głośny huk. Celina natychmiast przybiegła z kuchni i wydobyła z siebie cichy jęk.

– Matko kochana, Wiktor!

Kiedy zobaczyłam wreszcie co się stało, sparaliżowało mnie. Wiktor leżał na ziemi. Jego twarz zrobiła się biała jak papier, usta również straciły swój kolor.

– Dzwonić po karetkę! – krzyknęłam do Celiny, która natychmiast dopadła do telefonu.

Uklękłam przy Wiktorze.

– Wiktor! Wiktor, braciszku, słyszysz mnie?

Cisza. Ręce zaczęły mi drżeć. Na skroniach pojawiły się kropelki potu. Po co w ogóle prosiłam go o pomoc?

– Wiktor! – mój ostatni krzyk rozpaczy zatonął w głębokiej ciszy...

– Nie będę ukrywał – powiedział lekarz w białym kitlu, okularach z grubymi czarnymi oprawkami i, zapewne powodowanym przez te oprawki, srogim wyrazie twarzy – że sprawa wygląda poważnie. Nie mieliśmy jeszcze podobnego przypadku w naszym szpitalu. Pani brat ma nietypowe objawy, a jego organizm staje się coraz to słabszy. Ciężko mi nawet spekulować, co to może być za przypadłość. Robimy jednak wszystko co w naszej mocy, aby móc postawić odpowiednią diagnozę. Przeprowadziliśmy już całą masę badań, ale jeśli trzeba będzie przeprowadzimy ich jeszcze więcej.

Tę i podobne formułki słyszałam później jeszcze wiele razy. Nie dowiedziałam się jednak niczego, poza tym co słyszałam do tej pory. Dzień w dzień przesiadywałyśmy z Celiną w szpitalu i patrzyłyśmy jak Wiktor zamienia się zupełnie inną osobą, pozbawioną sił i życia. Kiedy przychodziliśmy do niego, starał się wymusić uśmiech na swojej twarzy, jednak w efekcie wychodziła mu jedynie podłużna wąska kreska.

– Musi być coś co da się zrobić, no przecież tak nie może być, żeby nie dało się nic już – lamentowała Celina – Musi być ktoś, kto może mu pomóc!

– Nie mam żadnego pomysłu – odparłam po dłuższym zastanowieniu.

– Niech to... – zrezygnowana Celina spuściła wzrok i zamruczała pod nosem – Żebym ja miała znajomości jakies. Żebym maga jakiegoś znała, a nóż by pomógł. Oni nie wszyscy to naciągacze, tylko trzeba odpowiednio trafić, albo znajomości mieć. Oni na ziołach się znają, wiedzę dużą mają... Cuda działać potrafią! Ale żebym ja znała takiego...

Siedząc tak przy łóżku Wiktora i słuchając pomruków Celi-ny, zaczęłam zastanawiać się nad tym co mówiła. Chwilę mi zajęło zanim doszłam do odpowiednich wniosków, jednak w końcu mnie olśniło.

– Zaraz... przecież ja znam kogoś takiego! – wrzasnęłam tak głośno, że pacjent obok Wiktora, który do tej pory spał spokojnie, aż się poderwał. Zmierzył mnie zaspanym spojrzeniem, przewrócił się na drugi bok i już po chwili w sali roznosił się echem dźwięk jego pochrapywania.

– Jezus Maria, pobudzisz tu wszystkich! – Celina też wyglądała na przestraszoną.

– Celina, ja znam kogoś takiego! – powtórzyłam rozentuzj-
zmowana, już nieco ciszej – Nazywa się Absarokee, jest Indianinem. Mieszka w Stanach. W prawdzie to nie żaden mag, ale szaman. Chociaż... może faktycznie coś magicznego w nim jest. O czym ja to... a, tak. Jest dalekim kuzynem taty. Pamiętam, że kiedy Wiktor i ja byliśmy mali, to rodzice zamiast lekarza, ścią-gali do nas właśnie jego. Potrafił wyleczyć nas ze wszystkiego! Jednego dnia mieliśmy grypę, a drugiego już biegaliśmy z dzie-
ciakami na podwórku. On może nam pomóc!

– Ale... żeby Indianin? Czy ja wiem... – Celina nie wyglądała na przekonaną.

– Zaufaj mi. Idę wypisać Wiktora, spakujesz jego rzeczy?

– Ale dziecko, poczekaj. Nie uważasz, że wożenie Wiktora, kiedy jest on w takim stanie, jest zbyt ryzykowne?

– Wiem, że jest, ale nie ma innego wyjścia. Absarokee nie rusza się z Bostonu już od ponad dwudziestu lat. Odzwyczaił się od podróżowania. Poza tym ma już swoje lata. Nie wiadomo jak skończyła by się dla niego taka podróż.

– Wolisz więc narażać swojego brata? – Celina nie wyglądała na zadowoloną.

Westchnęłam.

– Posłuchaj mnie. Stan Wiktora pogarsza się z dnia na dzień. Lekarze nie mają pojęcia jak mu pomóc. Są bezradni. Wolisz więc, żeby leżał tu niewiadomo jak długo i mizerniał na naszych oczach? Jeśli nikt mu nie pomorze, on umrze. Absarokee jest naszą ostatnią nadzieją. Jeśli nie podejmę tego ryzyka i nie pojadę z nim do Stanów, to do końca życia będę tego żałować zastanawiając się co by było gdyby jednak okazało się, że Absarokee był w stanie mu pomóc – Celina nadal nie wyglądała na przekonaną co do mojego pomysłu, niemniej jednak sroga mina trochę jej złagodniała. Ponowiłam więc swoje pytanie – Spakujesz jego rzeczy?

Nie czekając na odpowiedź wybiegłam z sali i pomknęłam białym korytarzem do pokoju, w którym urzędowali lekarze. Ciężko było mi ich przekonać, że decyzja o wypisaniu mojego brata ze szpitala jest słuszna, jednak po paru minutach zaciętej walki słownej lekarze w końcu odpuścili i dostałam wypis.

Już następnego dnia siedziałam z Wiktorem w samolocie, a w mojej głowie zakiełkowało ziarnko nadziei, które znalazło się tam ni stąd ni zowąd.

Bo jeśli nie nadzieja, to co innego mi pozostało?

Przystanek: Ameryka Północna

Pierwsze kroki po wylądowaniu w Stanach i zaprowadzeniu Wiktora do naszego bostońskiego domu skierowałam wprost na Beacon Hill, gdzie Absarokee prowadził sklep z ziołami, amuletami i innymi bliżej niesprecyzowanymi przedmiotami. Wchodząc do środka miało się wrażenie, że przekracza się próg innego świata. Unoszący się zapach zmieszanych ziół, półmrok w pomieszczeniu i tajemnicze obrazy na ścianach... To wszystko składało się na atmosferę grozy i swoistego uroku jednocześnie.

Podeszłam do stojącego tyłem do mnie Absarokeego, który zajęty był wycieraniem bawełnianą szmatką słoików z podejrzaną zawartością. Nie chcąc go wystraszyć przyglądałam się z uwagą jego płynnym i delikatnym ruchom czekając aż skończy.

– Witaj Anandani – powiedział nagle Absarokee kończąc polerować ostatni słoik. Musiał dostrzec w nim moje odbicie. Dopiero po chwili odwrócił się i przyjrzał mi się z uśmiechem.

Anandani to indiańskie imię, jakim nazywał mnie wujek kiedy byłam jeszcze dzieckiem. Oznaczało „radość”. Nadał mi je, ponieważ zawsze byłam radosna i uśmiechnięta, więc Absarokee uznał, że żadne inne imię nie odda lepiej mojego charakteru.

– Witaj wujku – uściskałam go z całej siły, odsunęłam się od niego i przyjrzałam mu się z uwagą. Minęło kilka lat, od kiedy widziałam go po raz ostatni. Właściwie to nie widzieliśmy się odkąd przeprowadziliśmy się z Wiktorem do Polski. Przez ten

czas wujek bardzo się zmienił. Giętkie i muskularne ciało Indianina, stało się przykurczone i kruche. Jego ciemną twarz przyozdobiły kolejne zmarszczki. Kruczoczarne niegdyś włosy przyprószyła siwizna, a czarne jak węgielki oczy jakby trochę wyblakły. Nic w tym jednak dziwnego. Absarokee miał już swoje lata, a dodatkowo stres i inne obciążenia psychiczne związane z życiem w dużym mieście pośród tłumów i zgiełku, również odbiły swe piętno na jego wyglądzie.

– Akurat ciebie spodziewałbym się tutaj najmniej – rzekł Absarokee – Co cię sprowadza po tylu latach?

W jego ustach zabrzmiało to, jakbyśmy nie widzieli się co najmniej z pięćdziesiąt.

– Chodzi o Wiktora...

– A właśnie, gdzie moje drugie słońce?

– Wujku... Musisz nam pomóc. Błagam cię, jedź teraz ze mną do domu, Wiktor tam na nas czeka... Ja... Ja nie wiem co mam robić, lekarze też nie... On nie może... On...

Kiedy tylko łzy zaczęły spływać po mojej twarzy, Absarokee objął mnie mocno. Nie pytał już o nic. Zamknął sklep i pojechaliliśmy do naszego domu na przedmieściach Bostonu.

Absarokee badał Wiktora przez prawie godzinę. Wiktor w milczeniu i bez sprzeciwu poddawał się wszystkim eksperymentom. Wreszcie wujek wyszedł z pokoju i oznajmił:

– Chyba wiem, co mu jest.

Wzdłuż szyi i kręgosłupa przeszła mi kolonia mrówek. Ucieszyłam się, że wujek odnalazł przyczynę, ale jednocześnie widząc jego minę, wiedziałam, że mogę spodziewać się najgorszego.

– To bardzo rzadki wirus afrykański o nazwie mesale. Wiktor ma wszystkie typowe objawy.

– To by się zgadzało – powiedziałam – Tydzień temu wrócił z Afryki. Jak można mu pomóc?

– Jedyne co mogę zrobić, to opóźnić proces postępowania choroby. Do jej całkowitego wyleczenia potrzebne są pewne składniki, których niestety nie posiadam. W dodatku zdobycie ich wiąże się z długim wyjazdem i jest bardzo trudne. Każdy z nich znajduje się bowiem w innym zakątku świata.

Informacja ta nie ucieszyła mnie w najmniejszym stopniu.

– Dlaczego to musi być takie skomplikowane? Nie można wymyślić czegoś innego, na bazie jakichś prostych ziół? Ma ich tutaj wujek pełno, może dałoby się je czymś zastąpić...

– Kochanie, niezwykła choroba wymaga niezwykłego leczenia. Jak sobie wyobrażasz wyleczenie rzadkiego wirusa afrykańskiego rumiankiem i miętą?

Westchnęłam. Cała ta sytuacja pozbawiła mnie zdolności logicznego myślenia.

– No dobra... Więc co to za składniki? – byłam przekonana, że Absarokee zna całą recepturę na pamięć. Nie pomyliłam się.

– Do sporządzenia wywaru potrzebne są cztery elementy: kwiat Huo-ngai, który rośnie w miasteczku Bao-jaraya w Azji, kamień Wulele, znajdujący się w afrykańskim kanionie w miejscowości Lomitingo, owoc Dambay va z krzewu na wyspie Thazu na Oceanie Spokojnym oraz woda ze źródła Sa-ku-me, które znajduje się w Nhotemali na Antarktydzie.

Przyjęłam do wiadomości wszystkie informacje i zaczęłam je analizować. Zaczęłam zastanawiać się nad swoimi znajomościami. Starłam się sobie przypomnieć, czy nie mam kontaktów w tamtych rejonach. Następnie do głowy wpadła mi myśl, żeby wynająć kogoś, kto mógłby zająć się zdobyciem wszystkich składników. W końcu podjęłam ostateczną decyzję.

– Znajdę te składniki i przywiozę je tutaj.

Absarokee nawet trochę nie wyglądał na zdumionego tym faktem.

– Tak przypuszczałem.

– Naprawdę? – zrobiłam ironiczną minę. Wszystkowiedzącego starego Indianina nie dało się zaskoczyć chyba niczym.

– Wiem doskonale, że dla brata zrobiłabyś wszystko. Jednak muszę cię uprzedzić, że ta podróż nie będzie należała do miłych i przyjemnych. Gdyby te składniki były łatwe do zdobycia, znajdowałyby się w asortymencie każdej apteki czy innego sklepu z medykamentami.

– No chyba dostępu do kwiatka czy kamienia nie chroni stado groźnych bestii?

Absarokee nie odpowiedział.

– W takim razie pójde teraz do swojego sklepu i przygotuję dla ciebie coś co ci się może przydać podczas podróży. A tobie radziłbym zarezerwować bilet na najbliższy lot do Azji. W obecnym stanie Wiktora, nie ma chwili do stracenia – po tych słowach wujek już miał odejść, jednak w ostatniej chwili zatrzymałam go.

– Wujku... czy Wiktor wytrzyma? Czy jego organizm wytrzyma tych kilka dni, kiedy mnie nie będzie? Tylko bądź ze mną szczerzy.

Absarokee westchnął. Wiedziałałam, że szuka odpowiednich słów do udzielenia mi odpowiedzi. Po chwili rzekł:

– Im bardziej kogoś kochasz, tym dłużej on żyje. Bo ma potrzebę, żeby żyć. Żeby żyć dla osoby, która go kocha. Tak właśnie jest z tobą i Wiktorem. Myślę, że dzięki twojej miłości wytrzymałby nie tylko tych kilka dni, ale wiele, wiele więcej...

Kiedy tylko dorwałam mojego laptopa, włączyłam przeglądarkę i sprawdziłam na mapie, gdzie dokładnie leżą wspomniane przez Absarokeego miejsca. Każde z nich znajdowało się na innym fragmencie mapy i było sporo oddalone od drugiego. Zanosilo się więc na długą podróż.

Zaczęłam studiować mapę dalej. Żadna z wymienionych przez Absarokeego miejscowości nie była jakoś specjalnie

szczegółowo opisana w Internecie. Zdjęć też było niewiele, w dodatku zrobione przez przypadkowych turystów telefonami komórkowych, więc, co za tym szło, obrazy były niestety kiepskiej jakości. Ponadto informacje, które udało mi się uzyskać o każdym z miejsc były bardzo skromne.

Na temat Nhotemali na Antarktydzie, nie dowiedziałam się praktycznie niczego, poza tym, że jest na Antarktydzie. Ze zdjęć też nie udało mi się wywnioskować zbyt wiele, ponieważ każde z (aż) trzech zdjęć umieszczonych przez kogoś w Internecie, przedstawiało jakże nadzwyczajną i unikatową kupę śniegu. Na temat wyspy Thazu moja wiedza także jakoś specjalnie się nie poszerzyła. Znalazłam ją na mapie w formie niewielkiego i niekształtnego punkcika, który po przybliżeniu stawał się niewyraźny i zamazany, zupełnie jakby ktoś zakłócił widoczność wyspy celowo. Najwięcej informacji udało mi się uzyskać o azjatyckim miasteczku Bao-jaraya, którego nazwa przetłumaczona na język tubylców, oznaczała miasto kolorowych kapeluszy. Co zaś do afrykańskiego kanionu, zlokalizowałam go na mapie w formie brązowej dziury i małego punktu na jej krawędzi, co przypuszczalnie było słoniem. Albo gigantyczną mrówką.

– Jestem! – od lektury oderwał mnie dochodzący z przedpokoju głos Absarokeego.

– No wreszcie, co tak długo?

– Nie jestem już taki młody jak kiedyś, teraz droga zajmuje mi trochę więcej czasu. Jak Wiktor?

– Śpi.

– To dobrze. Niech organizm regeneruje siły. Powiedziałaś mu, że wyjeżdżasz?

– Nie i nie zrobię tego – zmarszczyłam brwi – Jeśli się dowie, że chcę jechać tak daleko, nigdy się na to nie zgodzi.

– W takim razie co mam mu powiedzieć, kiedy o ciebie spyta?

Spis treści

Wstęp	4
Przystanek: Ameryka Północna	14
Przystanek: Azja	24
Przystanek: Afryka	56
Przystanek: Pacyfik	137
Przystanek: Antarktyda	197
Koniec podróży	250
Zakończenie	279
Podziękowania	283



Daria Muszyńska

Urodziłam się w 1993 roku w Rybniku. Od najmłodszych lat interesował mnie świat książek, który był mi bliższy od realnego świata. Pomysł na napisanie książki, pojawił się w trzeciej klasie liceum, kiedy to na warsztatach z psychologiem, zostały rozdane nam kolorowe kartki, z których mieliśmy stworzyć kapelusze, a każdy z nich miał odzwier-

cedlać konkretny nastrój. Wtedy też po raz pierwszy w mojej głowie pojawił się obraz miasteczka, zamieszkiwanego przez ludzi, którzy na głowach mieli właśnie takie kolorowe kapelusze. Ten krótki przebłysk w mojej głowie dał początek całej historii, którą niedługo później przelałam na papier. Mam nadzieję, że na tej jednej książce się nie skończy i już niedługo będę mogła wprowadzić czytelników w zupełnie nowy, pełen przygód i tajemnic, świat.